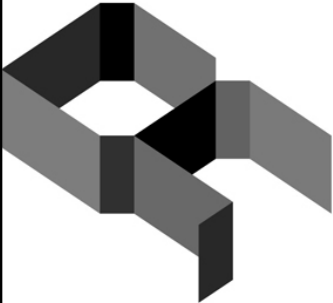


Łódź/27-29/10.2011
Filharmonia Łódzka/Łódzki Dom Kultury



Regionalny Kongres Kultury 2011

www.kongres-kultury.pl



PROGRAM KONGRESU
Czwartek 27 października
 10:30-12:30 (Filharmonia Łódzka)
 I SESJA PLENARNA:
 Praktyki Kulturowe - Diagnoza stanu kultury

13:00 -14:45 (Filharmonia Łódzka)
 II SESJA PLENARNA:
 Prawo do miasta - Kultura jako dobro wspólne

15:45-17:15 (Łódzki Dom Kultury)
 SESJE PANELOWE (odbywają się równolegle)
 - Edukacja kulturalna
 - Instytucje kultury jako centra aktywności lokalnej
 - Diagnoza stanu kultury i potrzeby kulturalne mieszkańców województwa łódzkiego
 - Dziennikarstwo kulturalne
 - Zawód artysty: jak wspierać rozwój młodej łódzkiej sceny artystycznej?

17:45-19:15 (Łódzki Dom Kultury)
 SESJE PANELOWE (odbywają się równolegle)
 - Rewitalizacja - jak wykorzystać dziedzictwo kulturowe w rozwoju miasta i regionu?
 - Jak pokazywać, że kultura jest ważna?
 - Obywatele Kultury – jak przełożyć postulaty ruchu na poziomie lokalnym?

PATRONAT HONOROWY:  

WSPÓLORGANIZACJA: 

ORGANIZACJA:  

REALIZACJA:  

WSPÓŁPRACA: 

Sfinansowano ze środków Urzędu Marszałkowskiego, Urzędu Miasta Łodzi i Narodowego Centrum Kultury www.obserwatoriumkultury.nck.pl

Kongresówka
 Gazeta Regionalnego Kongresu Kultury

Redaktor Naczelna: **Magdalena Simson**
 Redaguje zespół: **Karolina Warchoł, Adrian Kałkowski, Maciej Chachoń, Wojciech Bryndel, Jerzy Szelański, Justyna Pawłowska, Dominika Kawczyńska**
 Współpraca: **Jędrzej Słodkowski**
 Ten niezastąpiony: **Wojciech Słodkowski**

Wydawca: **Łódzki Dom Kultury**
 Redakcja: **ul. Traugutta 18, 90-113 Łódź**

Fotografie niepodpisane: **Zasoby internetowe**
 Szata graficzna i DTP: **Emilia Świątkowska**

Kongresówka

Nr 1/ 27. 10. 2011

Gazeta Regionalnego Kongresu Kultury
 Łódź, 27-29 października 2011



for. Karolina Warchoł

SŁÓW KILKA OD ŁÓDZKIEGO DOMU KULTURY

Od kilku miesięcy Łódzki Dom Kultury przygotowywał Regionalny Kongres Kultury. Dlaczego i dla kogo Kongres jest ważny? Dlaczego dzisiaj jesteśmy w ŁDK-u? Na te pytania odpowiadają dyrektorzy Łódzkiego Domu Kultury - Halina Bernat oraz Jacek Lewkowski.

Dlaczego Kongres? Dlaczego ŁDK?

Kongres jest bardzo cennym elementem, w kontekście innych przedsięwzięć tego rodzaju, które odbyły się wcześniej. Ten, jako jedyny łączy siły województwa i miasta. To inicjatywa Urzędu Marszałkowskiego oraz Urzędu Miasta. Olbrzymie zainteresowanie i wsparcie Narodowego Centrum Kultury jest również dowodem na atrakcyjność całego projektu.

To dobre miejsce

Od końca lipca ŁDK zajmował się realizacją Regionalnego Kongresu Kultury. Jest to dobre miejsce i dobra instytucja do zorganizowania tego projektu. Nasza rola to praca na rzecz kultury w całym województwie łódzkim. Zajmujemy się wszystkimi gałęziami sztuki, przez co najłatwiej nam odnieść się do przedsięwzięcia, które funkcjonuje na wielu płaszczyznach. Działalność Łódzkiego Domu Kultury jak najbardziej spełnia oczekiwania projektu.

Dla kogo?

Zorganizowaliśmy spotkania konsultacyjne w województwie, wsłuchiwalismy się w oczekiwania. Wiele z nich starałismy się zamieścić w programie Kongresu. Co prawda program skupia się głównie na teoretycznym, uniwersyteckim spojrzeniu na kwestię kultury, ale też skierowany jest do tych, którzy orientują się w temacie. Oprócz uczestnictwa władz, bardzo nam zależy na środowiskach uczelnianych, studenckich. Dla nich to pewnego rodzaju forma edukacji.

Miejmy zatem nadzieję, że Kongres sprost oczekiwaniom uczestników, organizatorów i realizatorów. I nie zostanie jedynie częścią teoretyczną, do której, jak wiemy, praktyce w rzeczywistości daleko.

Karolina Warchoł

Czeka nas rewolucja w łódzkiej kulturze?

Kiedy używamy słowa „kultura”, mamy na myśli element spędzania wolnego czasu. Zapominamy, że to właśnie ona przekłada się na rozwój naszego miasta, a także całego regionu. Kultura to nie tylko kina, teatry, czy festiwale, które odbywają się przede wszystkim w dużych aglomeracjach. Kultura to także każde, najmniejsze działanie w prowincjonalnych miasteczkach, które kształtuje ich mieszkańców. To domy kultury, które zrzeszają ludzi pełnych pasji, którzy chcą się rozwijać, tworzyć sztukę dostępną dla każdego. To artyści, którzy właśnie w takim środowisku tworzą i dojrzewają artystycznie.



Rozpoczynamy dzisiaj Regionalny Kongres Kultury - trzydniowy cykl spotkań, dyskusji, warsztatów, które miejmy nadzieję, że coś zmienią. Nie mówię tu o całkowitym przeobrażeniu się łódzkiej kultury. Nie sądzę też, że nagle obudzimy się w innej rzeczywistości. Kulturalnej rzeczywistości. Natomiast liczę, że zaczniemy doceniać to, co mamy i nauczymy się to wykorzystywać.

Po Kongresie w Bydgoszczy, przyszła pora na Łódź. Jak spożytkować potencjał miasta i regionu? Jak wspierać rozwój młodej, łódzkiej sceny artystycznej? Jak pokazywać, że kultura jest ważna? Na te i inne pytania będziemy szukać odpowiedzi. Co zmieni Kongres Kultury? Czeka nas rewolucja w łódzkiej kulturze? To się okaże. Mamy tylko nadzieję, że w niedzielę nie będzie już pytań i niejasności.

Rozpocznijmy kulturalną burzę mózgów!

Redaktor Naczelna
 Magdalena Simson



foto: Łukasz Cieślak

Justyna Pawłowska: Po co zorganizowano Kongres? Na czym ma polegać?

Łukasz Biskupski: - Regionalny Kongres Kultury jest to wspólna inicjatywa Urzędu Miasta Łodzi i Urzędu Marszałkowskiego we współpracy z Narodowym Centrum Kultury. To bezprecedensowy przykład współpracy instytucji w zakresie kultury. Impulsem do organizacji kongresu był pewien odczuwalny impas w kulturze, być może związany z rozproszeniem energii, zgromadzonej przy okazji starania się o status Europejskiej Stolicy Kultury. Mam nadzieję, że Kongres na nowo rozpocznie debatę na temat tego, co w łódzkiej kulturze powinno zostać zmienione.

Jaki jest cel Kongresu?

- Celem jest dyskusja o polityce kulturalnej. Czyli na temat „pracy u podstaw” - konkretnych rozwiązań prawnych, strukturalnych - sposobu finansowania, zarządzania, określenia priorytetów dla miasta i województwa oraz współpracy kulturalnej. Zagadnień mało spektakularnych, ale w dłuższej perspektywie kluczowych dla rozwoju kultury. Oba urzędy pracują nad określeniem polityki kulturalnej, ale są na różnych etapach. Urząd Marszałkowski pracuje już nad Programem Rozwoju Kultury dla całego województwa, który jest szczegółowym rozwiązaniem wynikającym z przyjętej strategii rozwoju województwa. Od początku roku przygotowywana jest bardzo szczegółowa diagnoza stanu kultury. Na potrzeby kongresu zostało również wykonane badanie potrzeb kulturalnych mieszkańców województwa, które jest jednym z elementów tej diagnozy. Ich wyniki będą jednym z tematów kongresowej debaty. Z kolei Urząd Miasta Łodzi rozpoczyna pracę nad Programem Rozwoju Kultury 2020+, a Kongres stanowi okazję do zebrania rekomendacji i postulatów środowiska.

Jakie konkretnie tematy będą poruszane?

- Dyskusje dotyczyć będą organizacji życia kulturalnego. Zarówno ogólnie, odnośnie zasad

prowadzenia polityki kulturalnej, strategii i programów, jak i zagadnień szczegółowych. Będzie osobna dyskusja poświęcona edukacji kulturalnej i temu, jak wspierać edukację mającą na celu rozwijanie kompetencji odbiorców. Jeśli w domach kultury i innych instytucjach taka edukacja jest prowadzona to jest to najczęściej edukacja tzw. artystyczna, czyli próbuje się wykształcić twórców-amatorów. A bardzo brakuje edukacji, która pomagałaby zrozumieć i odbierać kulturę, edukacji, która kształtowałaby odbiorcę danej instytucji kultury. O tym będzie mowa na Kongresie. Inna grupa dyskutantów z kolei zastanowi się, jak zatrzymać absolwentów uczelni artystycznych w Łodzi, jeszcze inna – jak zintegrować kulturalnie województwo łódzkie. Ważnym tematem będzie również przyszłość instytucji kultury i współpraca władz z organizacjami pozarządowymi.

Czy Kongres coś zmieni?

- Na pewno nic nie zmieni się od razu. To nie jest tak, że po kongresie obudzimy się w nowej rzeczywistości. Trzeba zacząć pracę u podstaw, o której mówiłem. Przykładowo w przypadku edukacji kulturalnej, celem strategicznym miasta powinno być podnoszenie kompetencji kulturalnych mieszkańców. To wymaga bardzo szczegółowych pomysłów na edukację tych najmłodszych. Na ich efekty trzeba czekać lata. Jeśli myślimy poważnie o kulturze i jej wspieraniu to właśnie takiej perspektywie te efekty będą widoczne. To jest pierwszy ruch bardzo ważny, rewolucyjny, ale efekty będą przychodzić powoli.

Trzy tygodnie temu podobny Kongres odbył się w Bydgoszczy i zyskał bardzo dużą aprobatę. Czy po łódzkim będzie można spodziewać się podobnych reakcji?

- Mam nadzieję, że tak, bo najważniejszym elementem działania obywatelskiego jest zaangażowanie szerokich środowisk w dyskusję na temat kultury. Kongres w Bydgoszczy był zorganizowany przez środowisko obywatelskie, które wyłoniło się z ruchu wokół staran o tytuł

Regionalny Kongres Kultury rozpoczęty. Czego możemy się po nim spodziewać? O to zapytaliśmy jednego z organizatorów - Łukasza Biskupskiego, kulturoznawcy i filmoznawcę, kierownika programowego Kongresu. Dla niego kultura to przede wszystkim: „(...) bycie ze sobą, kreowanie więzi społecznych i budowanie wspólnoty”.

Europejskiej Stolicy Kultury. Dialog z urzędami został nawiązany później. Kongres łódzki jest organizowany przez same urzędy, które tworzą przestrzeń do dyskusji na temat kultury. Wierzę, że efekt będzie podobny. Kongres kultury to nie przestrzeń kontrolowanej dyskusji gdzie siedzą przy stole trzy zaproszone osoby, wszyscy na widowni słuchają i czasem mogą zadać pytanie. Oczywiście są sesje plenarne wprowadzające do tematów, ale najważniejsze są otwarte dyskusje panelowe. Tam sytuacja jest demokratyczna. Wszyscy, którzy są zainteresowani jakimś tematem mogą się wypowiedzieć, zgłosić postulaty. Dzięki temu, mam nadzieję, powróty się obywatelski wymiar kongresu w Bydgoszczy.

Jaki według Ciebie jest sposób na kulturę?

- Nie ma prostych rozwiązań. Jednym z głównych problemów Łodzi jest niski poziom uczestnictwa w kulturze, to wiąże się z ogólnymi problemami społecznymi i gospodarczymi miasta. To nad czym powinniśmy się zastanowić najbardziej to, jak poszerzać dostęp do kultury w mieście. Ważne również, jak zatrzymać twórców i jak stymulować działania kulturalne w przestrzeni miejskiej. Tutaj można mówić o stypendiach artystycznych, o przyznawaniu lokali dla artystów, ale też dla przedstawicieli przemysłów kreatywnych, np. projektantów mody. Miasto jest właścicielem bardzo wielu pomieszczeń w centrum i mogłoby na pewnych zasadach udostępniać ją i w ten sposób zatrzymywać ich w mieście, ale też ożywiać przestrzeń kulturalną. Należy też lepiej wykorzystywać zasoby miejskich instytucji kultury, zdynamizować ich działanie tak, aby wspierały rozwój lokalny. Sądzę też, że należy zmienić myślenie o tym, jak rozumiemy pojęcie „kultury”. Już od dawna nie myśli się tu wyłącznie o kulturze wysoko - artystycznej w tradycyjnym dziewiętnastowiecznym rozumieniu. Kultura to jest przede wszystkim bycie ze sobą, kreowanie więzi społecznych, budowanie wspólnoty. Zauważyło to Ministerstwo Kultury w swojej nowej strategii i w tym obszarze tkwi największy potencjał dla przyszłości działań kulturalnych.

Z Łukaszem Biskupskim, kierownikiem programowym Kongresu rozmawiała Justyna Pawłowska

SŁODKI KĄCIK

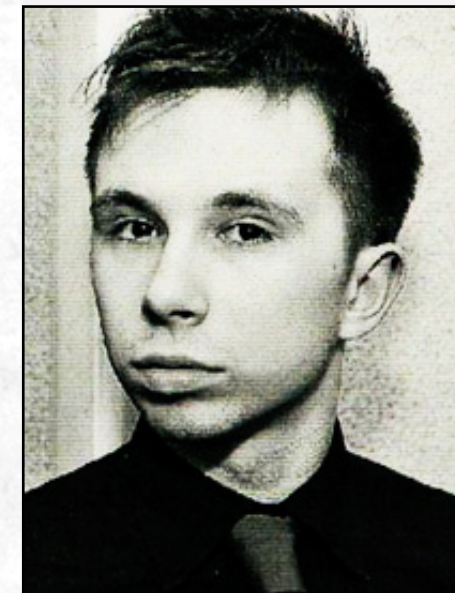
Gazeta Regionalnego Kongresu Kultury 2011

RKK: KOP, KTÓRY PRZEWYCIEŻY KACA?

Jedni „kruczo kraczą”, że ten Kongres jest bez sensu, że to kolejna porcja zmarnowanych pieniędzy. Wiem też o istnieniu takich, którzy pokładają w nim ogromne nadzieje. Liczą, że spotkanie wyjaśni wreszcie, w jaki sposób uczynić z kultury to mityczne koło zamachowe rozwoju miasta.

Nie jestem przesadnym optymistą. Podczas rozmów z częścią osób przygotowujących kongres, zauważyłem z radością, że ci także nie szastają obietnicami. Zdają się mówić niewiele więcej niż „pożyjemy, zobaczymy”. I dobrze, to uczciwe postawienie sprawy. Nie mam jednak zamiaru negować sensu organizacji kongresu. Zgadza się, że nie jest najlepiej? Zgadza się, że nie wiemy do końca na czym stoimy? Zgadza się, że Łódź, oprócz problemów ogólnopolskich, cierpi także na kilka innych, być może wrodzonych, chorób? No to o tym pogadajmy. Artyści z animatorami kultury, eksperci z urzędnikami, młodzi ze starymi, reprezentanci organizacji pozarządowych z reprezentantami publicznych instytucji kultury. Bez rozmowy trudno przecież cokolwiek zmienić. Kongres umożliwia wymianę myśli, dyskusję czy spór na innych zasadach niż podczas oficjalnego spotkania

w urzędowym gabinecie, o pisaniu podań nie wspominając. Tym bardziej, że do istoty kongresowania należą nie tylko debaty na forum publicznym, ale także spotkania kulturalne. I nawet jeśli kongres nie zakończy się oszałamiającą listą konkretów, samo umożliwienie takiego spotkania jest istotną jego zaletą. Widzę też drugi podstawowy plus, równie z pozoru banalny, bo równie „przezroczyście”. Od odpadnięcia z konkursu o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury minął właśnie rok. Kac jednak do końca nie minął. Głowa już tak nie boli, ale niesmak w ustach pozostał, a do olimpijskiej formy daleko. Trudno z siebie wykrzesać energię. W tym stanie lepiej za kółko nie wsiadać, daleko się nie ujedzie.



Regionalny Kongres Kultury powinien dać środowisku energetycznego kopa. W pamięci łódzian z przegródki „ostatnie naprawdę ważne wydarzenie dotyczące polityki kulturalnej” zniknie niezbyt udana impreza. Myślę, że w następnych miesiącach w rozmowie o kulturze będziemy odnosić się już do tego, „o czym mówiło się na kongresie”, „co wydarzyło się na kongresie” lub „co X powiedział na kongresie”.

Najbardziej, jak pewnie wielu czytających te słowa, obawiam się debatowania dla debatowania, bezproduktywnych kłótni, albo zjawiska „wszyscy zgadzają się ze sobą, a będzie nadal tak jak jest”.

We wrześniu obserwowałem we Wrocławiu Europejski Kongres Kultury. Obok nieoficjalnych spotkań polityków, wydarzeń artystycznych rozmaitego kalibru, wspaniałych koncertów, pożerania ton ciastek oraz babeczek, miały tam także miejsce dyskusje z udziałem wybitnych intelektualistów i artystów z całej Europy na najbardziej palące dla kultury Starego Kontynentu tematy. Niektóre dyskusje bywały naprawdę gorące. „No dobra, było ciekawie. Niby to najważniejsza część kongresu, ale co z tego, że sobie pogadali?” - rozmyślałem, maczając ciastko w kawie. Ostatniego dnia z braku lepszego zajęcia wybrałem się na oficjalne zakończenie kongresu. I zdumiałem się, kiedy minister Zdrojewski rzeczowo, punkt po punkcie zreferował problemy i punkty sporne, które pojawiały się podczas kolejnych paneli dyskusyjnych. Czy dotrzyma obietnicy złożonej najświetniejszym umysłem Europy i wnioski z dyskusji doczekają się dalszych opracowań? Tego nie wiem, ale pierwszy krok został uczyniony. Kilkadziesiąt godzin dyskusji udało się zgrabnie skondensować w kilkunastominutowym podsumowaniu.

Mam nadzieję, że organizatorzy Regionalnego Kongresu Kultury wezmą przykład z góry i zasilą drużynę o kompetentnych, bystrych „szpiegów”, którzy będą oczami, uszami i palcami rejestrującymi na klawiaturze (długopisy też pewnie jeszcze wchodzą w grę) to, co istotnego wydarzy się w najbliższych dniach.

Jędrzej Słodkowski, „Gazeta Wyborcza”

CO TY WIESZ O MAŁYCH MIASTECZKACH?

Włączam telewizor i widzę: znany aktor opowiada o swoim życiu. Włączam radio, a tam inny aktor wspomina o swojej ścieżce artystycznej. W gazecie czytam o muzyku i jego najnowszej płycie. Pośród pytań, które zadają dziennikarze czasami pojawia się TO jedno: „skąd właściwie jesteś?”. I tu odpowiedź jest zawsze podobna, a wniosek ten sam: wylęgarnią artystów są wielkie miasta. Warszawa, Kraków, Łódź. Tak, jakby wszystko, co znajduje się pomiędzy, w ogóle nie liczyło się na kulturalnej mapie Polski.

Zastanawia mnie, czy naprawdę żeby zostać kimś trzeba urodzić się w metropolii, a „wiocha” w metryce oznacza wykluczenie z hermetycznego świata szeroko pojętej kultury? A jeśli zaczniemy szukać głębiej, szerokim łukiem omijając wielkomiejski gwar, czy naprawdę nie znajdziemy żadnego aktora, czy muzyka? Może są, tylko się wstydzą, że na świat wydała ich ziemia usiana nie szklanymi wieżowcami, lecz chatami pokrytymi strzechą?

Pod lupę biorę Piotrków Trybunalski. Miasto, leżące niespełna pięćdziesiąt kilometrów od Łodzi, czyli niejako w centrum świata. Miasto, które zaopatrzone jest we własną rozgłośnię radiową, studio telewizyjne, a nawet twór, który pod nazwą Miejskiego Ośrodka Kultury pełni funkcję teatru. I w tymże parateatrze właśnie wyrosło paru ludzi, których nazwiska od czasu do czasu przewijają się na afiszach, czy srebrnym ekranie.

Z jedną z takich osób chodziłem kiedyś do szkoły. Pamiętam go, jako wiecznie rozczochranego chłopca, noszącego podkoszulkę z dziurami wypalonymi przez wybielacz, a potem, jako nastolatka w dredach, świetnie grającego na perkusji w paru kapelach rockowych i metalowych. Okazało się jednak, że Bartłomiej Błaszczyszki, zamiast skupić się na muzyce poszedł do szkoły aktorskiej. Łódzkiej, jako że w Piotrkowie takiej nie ma. Na studiach poznał kilku ludzi, zagrał parę epizodów tu i tam, wystawił monodram w jednym z teatrów offowych. Aż pewnego dnia włączyłem telewizor i zobaczyłem jego twarz promującą piwo w zielonej butelce. Niby nic – zwykła reklamówka zimnego napoju, jednak dla chłopaka z Piotrkowa...? Potem była jeszcze jedna reklama, w między czasie kilka epizodów w filmach fabularnych. Teraz Bartek pracuje w teatrze w Katowicach. Jestem przekonany, że za kilka lat jeszcze go zobaczę w pewnej roli. Już nie drugoplanowej, ale jako głównego bohatera jakiegoś kasowego hitu polskiej produkcji.

Kilka ładnych lat temu, zupełnie przypadkiem pośród znajomych pojawił się Maciek. Wtedy przygotowywał się do matury i nie miał pojęcia co zrobić ze sobą dalej. Teatr jeszcze wtedy nie miał dla niego dużego znaczenia, więc zaczął studiować historię. I trwało to pięć lat. I może ciągnęłoby się do dzisiaj, gdyby nie



fakt wstąpienia w szeregi amatorskiego teatru studenckiego. Zauważony w tym teatrze został zaproszony do grona instruktorów Stowarzyszenia Busola. Jakoś spodobało mu się to, co tam zobaczył, ponieważ zaraz po zrobieniu magisterki z historii złożył papiery na wydział aktorski do Zielonej Góry. Nie przyjęli go, oczywiście zarzekając się, że to już nie ten wiek. Zaproponowali mu jednak miejsce na wydziale lalkarskim. I tak Maciej Łagodziński z Piotrkowa zaczął bawić się lalkami. A że poza umiejętnością zabawy nauczonego go również warsztatu teatralnego, to prowadził je to tu, to tam. Dzięki temu, że poznał odpowiednich ludzi dostał pracę w teatrze lalek w Radomiu. Kolejny, którego widać w ten, czy inny sposób. O „Smaku Jabłka”, „Tutejszych” i „Grzmiącej Pólitrowie” słyszałem już bardzo dawno temu. Nie wiedziałem jednak co łączy te trzy kapele. Teraz wiem – Paweł Małolepszy, wieloletni pracownik piotrkowskiego radia, od kilku lat urzędnik z referatu kultury i sportu. W wolnych chwilach poeta, muzyk, lider kilku zespołów, autor kilku hitów. Nigdy nie zapomnę, jak na antenie pewnej ogólnopolskiej rozgłośni pan

redaktor zastanawiał się, czy Małolepszy to nazwisko, czy pseudonim. Sam Paweł mówi, że gdyby nie dzieci, już dawno żyłby z muzyki. Nie robi tego jednak z wyrzutem – to był świadomy wybór, z którego jest dumny. Anitę Lipnicką, od jakiegoś czasu skologiaconą w Johnem Porterem, znają wszyscy. Nie wszyscy jednak wiedzą, że pochodzi ona z „małej wsi koło Łodzi”, jak to kiedyś powiedziała w wywiadzie. Może, w przeciwieństwie do swojego brata Arka, nie chce być kojarzona z „centrum świata”. Arek, pomimo grania w „Grupie Rafała Kmity” i współzałożenia grupy muzycznej „Voice Band” nigdy nie wyparł się swojego pochodzenia. Tak mógłbym snuć tę opowieść o piotrkowianach w nieskończoność, tylko po co? Nie wyniknie z tego nic nowego, ani nic dobrego. No może poza tym, że świat nie kończy się na stolicy, a wielkość nie liczy się w milionach mieszkańców, tylko w tym, co z tymi milionami zrobisz: zaczarujesz, czy utoniesz?

Jerzy Szelągowski

W ciepłej wodzie nic się nie urodzi



- Tak, jak nie wypada nie myć zębów, tak nie wypada uciekać od szeroko rozumianego życia kulturalnego - mówi posłanka Iwona Śledzińska-Katarasińska.

Dominika Kawczyńska: Kiedy odwiedziłam jedynych polskich amisów, usłyszałam, że uprawiam „zawód pasożytny”. Ich zdaniem praca dziennikarzy i artystów przynosi jedynie rozrywkę, a tym samym nie jest światu potrzebna. Jak wyjaśniłaby im pani, na czym polega dobrodziejstwo kultury?
Iwona Śledzińska-Katarasińska: - Oni mają wiarę, która każe im żyć naturalnie i w oderwaniu od zewnętrznego świata. Mnóstwo ludzi potrzebuje bodźców, które uczynią życie sensownym. Nośnikiem wartości jest kultura. To ona pomaga poznać piękno świata. Plastyka, muzyka jest transformacją tego, co nas otacza. Wszystko, co dla amisów jest prawdą objawioną, inni mogą znaleźć w kulturze.

Oni nie rozumieją, że kultura powinna być treścią, a nie dodatkiem. Traktują ją jako ozdóbkę. A władze?

- Lubię spędzać czas w posprzątanym pokoju i oglądać na spacerze ładne fasady domów. Jeśli kultura jest ozdobą, już ma ogromną wartość. Ale nie wydaje mi się, żeby władze traktowały kulturę „per noga”. Kultura w najnowszej historii stała się katalizatorem oporu. To ona w stanie wojennym pozwoliła przeżyć. W trudnym okresie ujawniła się jej wolność. Pytanie tylko, jakie jest miejsce kultury w gospodarce rynkowej. Od 1990 r. budujemy Polskę od nowa. Kultura stała w kolejce za rentami, emeryturami, drogami, miejscami pracy, szkołami. Nastąpiło przewartościowanie. Do decydentów dotarło, że kultura przynosi zyski. Jest szybką koleją Polski do Europy.

Będzie samodzielną gałęzią gospodarki?

- To zależy od ludzi kultury. Wiemy już, że świetnie sprawdzili się w stanie zagrożenia.

Na razie część z nich siedzi na kanapach i oczekuje manny z nieba. Ja czekam na aktywność. Najważniejsze jest znalezienie odbiorcy. Na tym polu są największe zaniedbania. Trzeba w ludziach wzbudzić chęć uczestniczenia w kulturze. Sztuka dla sztuki nie ma sensu. Popelniono straszny błąd wyrzucając z programu nauczania muzykę i plastykę. Jeśli dziecko nie ma kontaktu ze sztuką ani w domu, ani w szkole, skąd ma wiedzieć, że wizyta w teatrze to święto? Kiedyś organizowano chóry, kółka teatralne. Dlaczego powoli się od tego odchodzi? Uczestnictwo w życiu kulturalnym jest czymś normalnym. I to przeświadczenie powinno się wynieść ze szkoły.

Idea Świetlików, kulturalnych odpowiedników sportowych Orlików, wejdzie w życie?

- To świetny pomysł, przeciwko któremu trochę buntuje się szacowne środowisko bibliotekarzy. Mają przywileje i boją się, że obok książek i ebooków w ich bibliotekach pojawią się zespoły muzyczne i drużyny szachowe, a oni nie będą już najważniejsi. Świetliki można zrobić nawet na kanwie szkolnych bibliotek. Ale do tego potrzebny jest ferment i doksztalcone władze. Trzeba wytworzyć w społeczeństwie pozytywny snobizm. Tak, jak nie wypada nie myć zębów, tak nie wypada uciekać od szeroko rozumianego życia kulturalnego. W ten projekt powinni zaangażować się młodzi ludzie. Nie dla wygody. Żeby coś zrobić.

Jak widzi pani kulturalną przyszłość Łodzi?

- Łódź powinna postawić na przemysł kreatywny. Tu się powinno trząść od studiów fonograficznych, różnego rodzaju agencji. Łódź ma znakomite tradycje muzyczne i plastyczne. W historię miasta wpisani są Tansman,

Rubinstein, Kobro. Robimy sobie Aleję Gwiazd na Piotrkowskiej - bardzo miłe. Ale dlaczego Szkoła Filmowa nie współpracuje z miastem? Każdy sobie rzepkę skrobie. Instytucje i organizacje pozarządowe rywalizują ze sobą. W ten sposób nigdy nie wystarczy pieniędzy. Marnujemy je. Strategie regionalne i miejskie muszą się spotkać. Władze powinny myśleć perspektywnie, a nie tylko o własnej kadencji. Przez 17 lat próbowałam zainteresować kolejne ekipy Księżym Młynem. Dzięki niemu mogliśmy wybudować nową Łódź. Miasto mogło kupić ten obszar za 20 mln zł i później dobrze na tym zarabiać. Nie skorzystało z prawa pierwokupu. Co robi Opal? Zobaczymy. Mogliśmy stworzyć na Księżym Młynie park kulturowy albo kampus akademicki. Mamy trzy szkoły artystyczne. Gdzie jest ta młodzież?!

Coraz więcej kandydatów na artystów rezygnuje ze sztuki. Nie potrafią pokonać bariery, jaką są konkursy i zdobyć pieniędzy na działalność...

- Tylko Ci, którzy chcą skończyć szkołę, dostać angaż i w wieku 80 lat odejść na zasłużoną emeryturę. Sztuka to jest ryzyko. Kandydaci na artystów powinni chcieć je podejmować. W ciepłej wodzie nic się nie urodzi. A z drugiej strony powinni organizować obozy kondycyjne dla władz. Zabrać rządzącym komputery i komórki i kazać grać, śpiewać, oglądać, malować i słuchać. Dobrze by to wszystkim zrobiło.

Z Iwoną Śledzińską-Katarasińską rozmawiała Dominika Kawczyńska

GARAŻ NASZA ESTRADA

Opoczno to miasto z tradycjami. Kultura ludowa, która jest silnie utrwalana na tym obszarze, stanowi swego rodzaju hamulec dla powstających zespołów, chcących grać inny typ muzyki niż pieśni folklorystyczne. Dlaczego nie ma koncertów tych, którzy siedzą w zimnych garażach i przyciskając struny zmarzniętymi palcami?



Bartek Grochulski ma 22 lata. Od dziecka grał na perkusji. Rozwijał swoje umiejętności w Miejskim Domu Kultury w Opocznie. Instytucja ta jest jedną z niewielu w mieście, która pozwala doskonalić się młodym artystom. Mogą się tutaj kształcić m.in. muzycy, tancerze oraz fotograficy. Każdą sekcją opiekują się wykwalifikowani instruktorzy. Jednym z nich jest Wojciech Turek. To właśnie on pomógł Bartkowi stawiać pierwsze kroki w nauce gry na instrumencie.

Pewnego dnia Bartek wpadł z kolegą na pomysł żeby założyć zespół. – Siedzieliśmy na lekcji. Pamiętam, że to było w gimnazjum. Zapytałem Tomka gitarzystę czy zakładamy kapelę. Zgodził się. I tak właśnie powstał pierwszy zespół, w którym grałem. Nazwaliśmy się „Agrema” - opowiada. Była to grupa, która działała przy MDK-u i tam też doskonaliła się muzycznie. Nie każdy miał jeszcze sprzęt by ćwiczyć w domu. – Graliśmy covery zespołów rockowych – wyjaśnia Bartek. Po pewnym czasie „Agrema” się

rozpadła. Niektórzy członkowie zespołu nie chcieli przestać grać. Dlatego też postanowili założyć nową kapelę - „Placat”. Grupa ta skupiła się na innym rodzaju muzyki. – Tutaj też graliśmy covery, ale zespołów punkowych. „Placat” istniał krótko. Gdy w 2006 roku kapela się rozpadła, miałem dwuletnią przerwę w grze – opowiada perkusista. Któregoś dnia muzyk, ulegając swej pasji zaczął chodzić do kolegów, którzy grali w garażu. I tam powstał zespół, początkowo bezimienny. Nazwa powstała dopiero na potrzeby koncertu z okazji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Opocznie. Od tego czasu grupa „PeaceMaker” koncertowała nie tylko w swojej rodzinnej miejscowości, ale i w innych okolicznych miastach. Jednak problem wciąż stanowiło pomieszczenie, w którym ekipa mogłaby swobodnie ćwiczyć i przygotowywać kolejne utwory. Właściciel garażu nie przedłużył umowy z młodymi muzykami. Teraz nie mieli gdzie grać. Członkowie grupy się rozeszli. Niektórzy wyjechali studiować, inni zajęli się pracą. Muzyka spadła na drugi plan.

- W kwietniu 2009 roku zadzwonił do mnie kolega, który wiedział o „PeaceMaker”. Zapytał czy chcielibyśmy zagrać koncert w czerwcu w Opocznie. Oczywiście się zgodziłem - opowiada Bartek. Skład zespołu wrócił do Opoczna. Przed koncertem próby odbywały się ...w garażu. Było to miejsce zaprzyjaźnionego zespołu „The Pumpers”.



Z biegiem czasu „PeaceMaker” zdobywał popularność i otrzymywał kolejne propozycje. Kapela grała w Skarżysku Kamiennym, a także podczas Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Tomaszowie Mazowieckim. Zespół jest w trakcie nagrywania płyty, a grafik wciąż zapelniany jest przez liczne koncerty.

POWIDOKI ŁODZI

Łódź na przestrzeni lat stała się głównym ośrodkiem sztuki nowoczesnej, gdzie gromadzone są unikalne zbiory z jej całego zakresu. Dokładniej- tym miejscem jest powstałe w 2008 roku Muzeum ms2. Mieści się ono na terenie byłego kompleksu fabrycznego wybudowanego przez Izraela Poznańskiego. Cały kompleks to obecnie wielkie Centrum handlowe, pełne sklepów, restauracji i wszelkich miejsc rozrywki. Na uboczu tego królestwa konsumpcjonizmu znajduje się właśnie gmach muzeum, wybudowany na miejscu tzw. „tkalni wysokiej”.

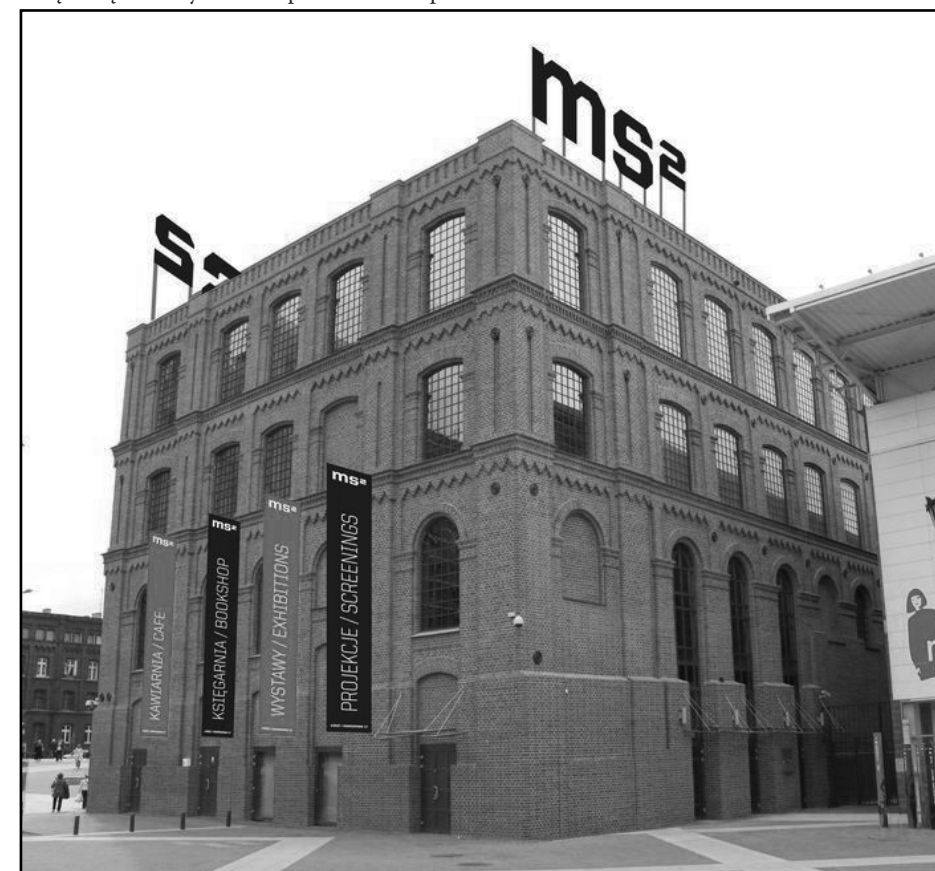
Budynek został zaprojektowany przez Hilarego Majewskiego w 1985 r. Misją i główne założenie muzeum, to promowanie sztuki jako ważnego fragmentu życia społecznego, który może znacznie wpłynąć na jego ukulturalnienie i podniesienie wartości. Aby tego dokonać, konsekwentnie realizowane jest gromadzenie oraz konserwacja nabytych zbiorów, a także prowadzenie działalności edukacyjnej, która ma na celu poszerzanie świadomości o sztuce. Stała ekspozycja muzeum, to zbiory sztuki XX, XXI wieku, która uzupełniana jest o najnowsze prace współczesnych uznanych twórców. Łódzkie ms2 to nie tylko jeden z najważniejszych polskich ośrodków sztuki nowoczesnej. Odgrywa on także znaczącą rolę na arenie międzynarodowej. Znajduję się tutaj ponad 10 tysięcy prac, począwszy od obrazów, przez rzeźby, po instalacje. W większości pochodzą one z Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej. Osoba odwiedzająca ms2 po raz pierwszy, powinna przede wszystkim sięgnąć do korzeni całej kolekcji, czyli twórczości Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro, która stanowi najbardziej łódzki element całego zbioru muzeum.

Strzemiński i Kobro byli poszukującą parą artystów. Strzemiński zawsze starał odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki aspekt malarstwa jest najważniejszy. Kwintesencją jego rozmyślań była „Teoria Unizmu”, która była zupełnie nowym spojrzeniem na proces malarstwa. Wynosiła na piedestał fakturę, a treść odsuwała na dalszy plan. Po unistycznym odbieraniu sztuki, przyszła także pora na cykl „Powidoki”, gdzie przede wszystkim chodziło o złudzenia optyczne występujące podczas długotrwałego obcowania z dziełami. Osiągnięcia Strzemińskiego i Kobro to przede wszystkim rewolucyjna idea funkcjonalności przestrzeni. Rzeźbiarka odeszła od tworzenia spójnej bryły, na rzecz geometrycznej kompozycji przestrzennej. Zwracała przede wszystkim uwagę na kompozycję przestrzeni architektonicznej, dostrzegając w niej możliwość uproszczenia życia. Zarówno Strzemiński, jak i Kobro wyznawali teorię, że w celu zachowania stabilności przestrzennej trzeba używać kolorów, które mają największą różnorodność zawartej energii, czyli np. czer-

wony, żółty i biały. Rangę ich sztuki podnosi także fakt, że przetrwała ona czasy wojny czy późniejszej cenzury. W związku ze swoją „innością” w podejściu do tworzenia, która zderzyła się ze ścianą głębokiego PRL-u, prace Kobro i Strzemińskiego przez długie lata nie były wspominane. Ich tradycję od 87 r. kontynuuje łódzka Akademia Sztuk Pięknych.

Kiedy oboje zamieszkali w Łodzi w 1931 r., Strzemiński mówił, że jest ono wystarczająco dużym miastem, które samowolnie może decydować o kierunku rozwoju sztuki, nie tylko w swoim miejskim kręgu, ale także ogólnopolskim. Trudno się z tym nie zgodzić patrząc na potencjał jaki płynie z młodych twórców, działających na każdym możliwym polu artystycznym. Zarówno tych lokalnych, jak i tych, którzy obrali sobie Łódź jako rzeczywistość do tworzenia swojej sztuki. Równie ważną kwestią jest także miejsce gdzie owi artyści mogliby się rozwijać i eksponować swoją sztukę. Tu również Łódź wydaje się być odpowiednim miejscem. Istnieje w końcu duża nieużywana przestrzeń, która aż prosi się o zagospodarowanie. Doskonałym przykładem takiego wykorzystania opuszczonych lokacji jest wspomniana wcześniej „tkalnia wysoka”.

Jednak równomiernie z powstawaniem miejsc rozwoju dla ogólnie pojętej kultury, jest potrzeba kreowania świadomości kulturalnej. Wiąże się to oczywiście z poszerzeniem pro-



Nie ma chyba lepszego środowiska dla sztuki nowoczesnej i współczesnej, niż miasto typowo industrialne, z wieloma interesującymi architektonicznie miejscami. Idealnym tego przykładem jest Łódź, gdzie początki rozwoju sztuki nowoczesnej sięgają czasów przedwojennych. To właśnie wtedy łódzką awangardę tworzyli tacy ludzie jak Władysław Strzemiński - malarz, czy jego żona, rzeźbiarka - Katarzyna Kobro. Oboje byli reprezentantami nowego, nieszablonoowego podejścia do tworzenia, które zmieniło sztukę, nie tylko w wymiarze łódzkim.

gramu edukacyjnego w szkołach, który może pomóc w nauce wrażliwości, niezbędnej do odbioru jakiegokolwiek sztuki. Bo sztuka to nie tylko artyści, ale także jej odbiorcy, którzy nie muszą być bezpośrednio związani z procesem twórczym. Nowo wybudowane miejsca muszą kiedyś posłużyć kolejnym pokoleniom artystów, a takich też trzeba wychować. Odnosząc się do teorii „Unizmu” – sadzę, że kiedy pokaże się młodym ludziom możliwości kreowania formy, wśród niektórych z pewnością pojawi się również chęć do przekazania treści.

Wojciech Bryndel

KIEDY OGON MACHA PSEM

- Widza trzeba niepokoić, drażnić, prowokować. Przeciwwstawić się terrorowi kultury odbiorcy - tłumaczy Zdzisław Jaskuła, dyrektor Teatru Nowego.



Dominika Kawczyńska: Czyją własnością jest teatr? Państwa, dyrektora, który nim zarządza, a może widza?

Zdzisław Jaskuła: - Jest robiony dla ludzi, dla widzów, którzy mają w związku z tym coś do powiedzenia, i przez ludzi, którzy nadają mu kształt, tworzą jego wizerunek. Przy tym wszystkim właścicielem i organizatorem teatru jest państwo lub samorząd, w naszym przypadku prezydent miasta. Ingerencja organizatora powinna się jednak ograniczać do określenia charakteru teatru i wyboru dyrektora o odpowiednim programie. A niekiedy władze żądają, by teatr był nowoczesny i awangardowy, elitarny i snobistyczny i jednocześnie miał stuprocentową frekwencję. Dyrektor szuka kompromisu między oczekiwaniami publiczności, wymaganiami władz i własnym artystycznym zamysłem. To bywa nieraz trudny kompromis.

Na szczycie kulturalnej drabiny jest państwo, dalej polityk, menedżer kultury, artysta i na końcu - odbiorca. To wydajny model?

- Ja bym to bardziej widział w poziomie, może w kole, bo przecież wszyscy tu jakoś wpływają na siebie. Ale: mamy nową ustawę o instytucjach artystycznych, która zmienia tę perspektywę. Władza może powierzyć organizację instytucji kultury różnym organizacjom, stowarzyszeniom, fundacjom, oddać je na pewien czas w prywatne ręce. Czyli władza trzeźnia się tu części władzy. I w jakimś stopniu odpolitycznia sektor kultury, co jest zdrowe. Rodzą się jednak niebezpieczeństwa. Co, jeśli powstaną przez to rzeczy przypadkowe, a taki, dajmy na to, teatr zadaniowy zacznie wypierać ten repertuarowy? To prawda, że przypadłością stałych zespołów bywa skostnienie i artystyczna rutyna. Ale instytucje repertuarowe tworzy się z myślą o odbiorcy. Są stabilne. Mają budżet, długoletni repertuar, zespół, który można kształtować... O ile nie stanie się tak, jak w przypadku Teatru Ateneum Izabeli Cywińskiej, gdy garderoba zaczyna rządzić. Kiedy ogon macha psem.

Aktorzy coraz częściej skarżą się na niską płacę. Uciekają do seriali.

- Ale i z seriali przychodzą. Bo aktorzy serialowi, zwłaszcza młodzi, o czym mogłem się przekonać

w trakcie rozmów sezonowych, chcą mieć bazę, miejsce, z którym mogliby się identyfikować. Taką przystanią jest teatr. Czują się źle bez oparcia w zespole. I są gotowi zatrudnić się nawet za grosze, choćby na ćwierć etatu. Niską pensję rekompensuje bowiem możliwość artystycznego rozwoju, kształtowania siebie i teatru, nowe wyzwania. Także bezpośredni kontakt z innym człowiekiem jest nie do przecenienia. Film ani telewizja tego nie dają. Aktorzy teatralni nigdy świetnie nie zarabiali. Etat, na ogół niski, mają za gotowość - do prób. Ale jeśli grają, ich pensja znacząco rośnie. Obecnie średnia w Teatrze Nowym w zespole aktorskim wynosi ok. 3,5 tys. zł., sporo więcej niż jeszcze sezon temu. Ale aktorzy to często malkontencka, bardzo przy tym wpływowa grupa. Mająca znaczący wpływ na powołanie i odwołanie dyrektora. Czasem z błahego powodu. Wystarczy, że ten na przykład usunie telewizor z garderoby. Nie, w Nowym nie mamy telewizorów w garderobach (śmiech). Ale wracając do seriali. Żadna praca nie hańbi, a i serieale mogą być artystycznym wydarzeniem. Ważne, by aktor pozostawał wierny etyce zawodowej i rozwijał się również poza teatrem. A będąc w nim pamiętał także, iż zespołowość wymaga wyrzeczeń i dyscypliny.

Pan jest menedżerem kultury i artystą w jednym. Jak wpływają na siebie te dwie funkcje?

- Mam wizję, wiem, czego chcę i realizuję artystyczne założenia. A z drugiej strony muszę pamiętać o logice suchych liczb, myśleć, co robić, by teatr zarabiał. W ostatnim sezonie blisko dwukrotnie wzrosła liczba widzów, przekraczając 43 tys. Wzrosły też odpowiednio dochody teatru. Ale nie spodziewałam się na przykład, że spektakl noblisty Daria Fo, antyfarsa „Kto nie ma, nie płaci”, będzie hitem Małej Sali. Jednak na tej scenie chcę robić przedstawienia, które stawiają coraz trudniejsze zadania zespołowi, a także edukują odbiorców. Nie musimy zawsze ulegać widzowi. Trzeba go niekiedy niepokoić, drażnić, prowokować. Przeciwwstawić się terrorowi „kultury odbiorcy”, czyli nierzadko pospolitemu gustowi. Niepokoi też, że znikła gdzieś silna kiedyś grupa teatromanów, ludzi tak kochających

teatr, że gotowych oglądać wszystko i klócić się na zabój. To oni kiedyśapełniali sale na kilku spektaklach popremierowych i nadawali ton życiu teatralnemu.

Powód?

- Myślę, że zanik warstwy, jaką była inteligencja. Zamiast tego mamy klasę średnią, która nie zapracowała jeszcze na etos, bo jej wyróżnikiem jest stan posiadania, a nie stan ducha. Stać ją na bilety, ale nie mają wewnętrznej potrzeby pójścia do teatru czy filharmonii. Brak dziś mody na kulturę, snobizmów. Nie ma też młodej inteligencji. Student to obecnie nie jest człowiek, którego wyróżnia inteligencja, a nawet inteligencja. Coraz częściej rezygnuje z chodzenia do teatru, nie czyta i - co najgorsze - nie jest mu nawet z tego powodu wstyd! Latem spałem na kampusie studenckim. Otworzyłem okno. Słyszałem rozmowy młodych ludzi. Już nie mówię o czym... - najczęściej o piciu, seksie i bójkach - ale jakim prymitywnym językiem! Zanikają potrzeby wyższe. Człowiek sam degraduje własną duchowość. Ponadto zmienił się model funkcjonowania kultury. Miesza się popularna z tzw. wysoką. Gry komputerowe zastępują książki... Długo by mówić.

Jaki model kultury u nas dominuje?

- W Polsce przyjął się model francuski. Rolę Paryża odgrywa Warszawa. To w stolicy mieszczą się najważniejsze instytucje kultury, ale też centralne firm, banków, potencjalnych sponsorów, tam łatwiej zdobyć pieniądze na działalność i łatwiej zarabiać, bo stolica jest bogata. Nam, na prowincji, pozostaje żmudna robota za te trzy kawałki z hakiem. Dlatego to dobrze, że nie Warszawa wygrała walkę o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2012. Dzięki temu jest jakiś element równowagi. A przy okazji: czy Łódź faktycznie przegrała te zmagania? W moim odczuciu to nadało nową dynamikę życiu kulturalnemu naszego miasta, okazało się, że jest tu sporo ludzi i organizacji o dużych ambicjach i zapale. Teraz miasto powinno sobie postawić jasne cele. Kongresy i debaty mogą być iskrą zapalną, pobudzić środowiska i samych mieszkańców. Odpowiada mi model Łodzi jako miasta kreatywnego, ale to trudne zadanie, bo trzeba odbudowywać to, co przecież kiedyś było, choćby Łódź filmową. Inny problem to ucieczka z miasta młodych twórców. Rzecz w tym, że lokalne władze, nie tylko u nas, często nie doceniają artystów, których mają na miejscu. Zamiast na eksport, stawiają na import kultury. Zapominają, że oblicze miasta tworzą nie tylko festiwale i „eventy”, lecz środowiska artystyczne i tworzone przez nie wartości i idee. Wszelkie władze mają zresztą tendencję do widzenia kultury jako spektakularnego, rozrywkowego widowiska o promocyjnym charakterze. Gdy często to, co najwartościowsze w kulturze, powstaje w niszach, na obrzeżu, w laboratoriach i warsztatach artystów.

Warto robić spektakl dla 15 osób?

- Jeśli chce się wychować widza, otwartego na różne języki, estetyki, gotowego do wejścia z teatrem w twórczy dialog, to nawet trzeba. Kiedy powstawał Teatr Studyjny na pierwsze spektakle przychodziła garstka widzów. Po jakimś czasie już - kilkadziesiąt. Stworzyliśmy własną publiczność. Nie lekceważę zatem kilku widzów. Za parę lat mogą być ich tysiące.

Ze Zdzisławem Jaskułą, dyrektorem Teatru Nowego rozmawiała Dominika Kawczyńska

Ale jak to? Nagrywacie płyty? Gdzie?

- Nie byłoby to możliwe gdyby nie koledzy z zespołów „Nomad” z Opoczna i „Means of Control” z Drzewicy, którzy udostępniają nam swoje studia nagraniowe. Bardzo im za to dziękujemy - tłumaczy bębniarz.

Bartek wraz ze swoją mamą Agnieszką zorganizowali Dzień Dawcy Szpiku w Opocznie. Wsparł ich wówczas Dyrektor Muzeum Regionalnego w Opocznie Tomasz Łuczkowski. Akcją cieszyła się olbrzymim zainteresowaniem mieszkańców miasta. Imprezie towarzyszyły koncerty zespołów.

Opoczyński „PeaceMaker” zagrał m.in. u boku znanej w Polsce punkowej grupy „Farben Lehre”. Nic podobnego tutaj nie miałoby miejsca gdyby nie Bartek, jego mama i koledzy.

Jak się okazuje garaży, w których ćwiczą młodzi ludzie jest dużo. Mają ambicję, jednak na tym się niestety kończy. Nie ma ich kto wesprzeć i pokierować. W rozwoju młodych ludzi, rola miasta jest niewielka. Wszystko to ich zapal i ogromne samozaparcie. Kultura zamiast być wspierana - jest blokowana, nie tylko przez organizacje samorządowe. Największą bolączką jest to, że dla takich



POSZERZAJĄC HORYZONTY głosy mieszkańców

Na tej pustyni kulturowej, jaką jest Opoczno dużą rolę odgrywa sztuka ludowa. To właśnie ona zajmuje najczęściej miejsca w programach imprez, które się raz na jakiś czas pojawiają. Ale czy tradycja musi oznaczać brak postępu i nieumiejętność tworzenia przestrzeni, w której chcą poruszać się młodzi ludzie? Opocznianie mają dość tej jednostajności. Głośno mówią o zastoju kulturowym, który zatrzymał się na folklorze i ludowych zespołach pieśni i tańca.

- Powinniśmy wyjść z kulturą do ludzi! Powinniśmy promować pracę naszych artystów. Dlaczego nie ma wystaw obrazów w mieście? Dlaczego nie zobaczymy gdzieś w przypadkowym miejscu fotografii Edwarda Zagdańskiego? Musimy promować własną twórczość! Kiedyś powstała „Tramblanka” (opoczyński zespół pieśni i tańca – przyp. red.) i ona nadal stanowi główną siłę naszej kultury. Nie powinno tak być - mówi Anita Pawlik, opocznianka.

To nie jedyne zażalenia kierowane w stronę rozwoju kultury w Opocznie. - Tutaj wszystko się dzieje tak jakoś obok. Życie kulturalne jest poza sceną główną. Gdzieś na uboczu, gdzie teraz są Ci, na których spadło tworzenie dziedzictwa kulturowego. Czyli na młodych, którzy chcą nadażyć za rozwijającym się światem, ale nie mogą - mówi Bożena Stachurska, nauczycielka języka polskiego - Już nie pamiętam kiedy można byłoby u nas obejrzeć sztukę z prawdziwego zdarzenia. Jeśli chcemy coś pokazać uczniom to zabieramy ich do Warszawy albo innych dużych miast. Dlatego marne perspektywy ma ten, któremu się marzy w Opocznie kariera aktora, bo już na starcie jest bez szans - dodaje.

Młodzi uciekają do większych miejscowości. W dużych aglomeracjach kultura funkcjonuje na wyższym poziomie. Opoczno nie daje takich możliwości. Folklor, który był w tym regionie silnie kultywowany przez lata zaczął przenikać do miasta. Trzeba spojrzeć na kulturę jak na nieustanną sferę rozwoju. Na tych młodych - jak na pokłosie kulturowe, które będzie ją tworzyć za dziesiątki lat. Na ludzi, którzy będą przekazywać wzorce następnym, pełnym kreatywnych pomysłów pokoleniom. Dlatego pozwólmy tym, którzy za ostatni grosz wynajmują garaże od niezadowolonych właścicieli wyjść na scenę. Stwórzmy im warunki do tego, by mogli się rozwijać. Nie pozwólmy, by garaż na zawsze pozostał ich estradą. Wzniosły to apel do... nikogo.

Adrian Kałkowski

miast jak Opoczno, to właśnie garaż jest siedzibą kultury. Tam się wszystko tworzy i tam zazwyczaj umiera. Instytucje kulturowe nie pomagają otworzyć drzwi. Przyczyniają się do zatrzęsnięcia kłódki nie pozwalając na uwolnienie twórczości z blaszanej klatki.

Dlatego potrzebne są rozmowy, potrzebny jest dialog. Potrzebny jest Kongres Kultury, by więcej takich zespołów jak „PeaceMaker” pojawiało się na polskiej scenie muzycznej. By kultura wyszła do nas. By nie trzeba jej było szukać po garażach.

Adrian Kałkowski



Utopia według Łoniewskich

Sędziejowice. Mała, malownicza wieś, a w głębi niej skromna chatka. Tuż za nią rozlega się pole kwitnącego rzepaku, w oddali widać las. Właśnie tam, pośród pól i lasów, dwoje ludzi stworzyło swój raj na ziemi. Miejsce przepelnione rodzinną atmosferą, miłością i partnerstwem. Miejsce, gdzie każdy może poczuć się “jak w domu” i gdzie każdy chce powrócić. Małżeństwo artystów, troje pełnych energii dzieci, pies, kot i wszechobecny teatr, czyli - rodzina Łoniewskich.

Połączył ich ogon smoka

To nie była miłość “od pierwszego wejrzenia”. 21-letni Adam, jako student, dostał rolę w gliwickim teatrze. Młody, zapatrzonny w siebie chłopak, któremu brakowało pokory. Rozpoczęcie nauki w szkole teatralnej wydawało mu się życiowym sukcesem. Pewny siebie i zarozumiały nie zrobił dobrego wrażenia na dziewięć lat starszej Marzenie. Pracowali wspólnie przy spektaklu “Apokalipsa św. Jana”. On - jako tytułowy św. Jan, ona - jako Ogon Smoka ... Kiedy wspominają tamte chwile i odgrywane przez siebie role, oboje żartują, że połączył ich właśnie “ogon smoka”. Sztuka została odegrana, a młodzi aktorzy rozeszli się w nie najlepszych stosunkach. Co stało się dalej z młodym, niepokornym Adamem?

- Profesory w szkole rozbudzili moją teatralną ciekawość, chęć poznania samego siebie. Ogromną rolę na moje zachowanie, ukształtowanie własnego “ja” odegrały warsztaty w teatrze. Zderzyłem się tam z ludźmi, którzy od wielu lat pracowali z młodymi, niepokornymi aktorami. Ludźmi, którzy bądź, co bądź powinni być dla mnie

A: “Oboje ukochaliśmy wieś...”

M: “Tak, dobrze się w siebie wżeniliśmy.”

autorytetami. Jednak w pierwszym kontakcie byłem na nich wściekły - sprowadzili mnie na ziemię, pokazali gdzie moje miejsce.

- wspomina Adam. Urażona duma młodego aktora nie trwała długo. Z tych lekcji wyciągnął wnioski i zaczął pracować nad samym sobą. Parę lat później, odmieniony, z innym nastawieniem do życia i teatru ponownie spotkał Marzenę. Znowu pracowali wspólnie przy spektaklu. Marzena nie patrzyła już na niego, jak na “zarozumiałego aktorzyne”. Dostrzegła w nim dojrzałego mężczyznę, który odnalazł samego siebie. Znaleźli wspól-

ny język, zaczęli spędzać ze sobą dużo czasu - w teatrze i poza nim. Zauważyli, że mają podobne podejście do życia i poczucie humoru...

Rodzice byli przerażeni

Było oczywiste, że zaręczyny nie mogą odbyć się tradycyjnie. Chcieli świeżości, dowcipu, przedstawienia, uśmiechu na twarzach swoich bliskich. - Wszystko zaczęło się dość normalnie. Zaprosiliśmy swoich rodziców na obiad.

Już wcześniej byli poinformowani, że będą to zaręczyny. Jednak nie spodziewali się, że normalnie to się nie odbędzie... - wspomina ten wyjątkowy dzień Adam. - Zjedliśmy wspólny posiłek, porozmawialiśmy z rodziną i czas było zaczynać spektakl! W pewnym momencie odeszliśmy z Marzenką od stołu i zamknęliśmy się w pokoju obok. Po kilkunastu minutach wróciliśmy przebrani za ... biedronki! - oboje wybuchają śmiechem. - Cała rodzina zrobiła wielkie oczy i bez słowa przeczekali do końca całej “ceremonii” - opowiada Marzena. Oboje nie lubią schematyczności i za wszelką cenę chcą odbiegać od tego “co wypada i należy”. Dlatego też i wesele nie mogło być zwyczajną, rodzinną uroczystością. U zapoznanych ojców Salezjanów w Czerwińsku zorganizowali prawdziwy festyn. - Był piknik, grill, ognisko, kapela grała ludowe utwory, a goście mogli się nauczyć regionalnych tańców. Wśród rodziny i znajomych zapanowała niesamowita atmosfera. Nasz strój też nie był tradycyjny... Byliśmy ubrani w lniane stroje, a na nogach mieliśmy czerwone i pomarańczowe glany. Nasz wspólny przyjaciel, na nasz widok oznajmił “całe szczęście, że się tak ubraliście, bo bałem się już, że znowu będziecie przebrani za biedronki” - wspomina Marzena.

- Było skromnie, ale swojsko i inaczej niż zawsze. - Wspólnie przyznają, że taki ślub się im marzył, a znajomi do dzisiaj wspominają ich wesele. Bez zbędnego napinania się i dopracowania. Spontanicznie i z pozytywnym nastawieniem - tak właśnie podeszli do ślubu i do dalszego życia razem...

2+3

Do wspólnego życia rodzinnego brakowało im jeszcze kogoś. - Odpowiedni partner, zmieniając naszą wizję na życie. Nie postrzegamy już siebie, jako jednostki. Teraz nie potrafimy wyobrazić sobie samej, bez rodziny - wyznaje Marzena - To niesamowite, kiedy jedziemy samochodem, odwracam się za siebie - a tu siedzą trzy ucieszone mordki - śmieje się. Anielka, Jaś i Antoś od najmłodszych lat wychowują się w teatrze. Stale przy rodzicach, zdarza się, że występują razem z nimi na scenie. Najmłodszy z trójki - Antoś miał niespełna kilka miesięcy, kiedy zadebiutował na Konfrontacjach Teatrów Młodzieżowych. Jako najmłodszy uczestnik wystąpił na rękach taty w jednym z blackoutów Rebeli (grupy teatralnej prowadzonej przez Adama).

- Takie dzieciństwo z pewnością kształtuje ich osobowość. Wydają się być bardziej towarzyskie, otwarte. - mówi Marzena. - Pamiętam, jak kiedyś organizowaliśmy u siebie w domu koncert kolęd. Zaprosiliśmy znajomych, również z dziećmi. Anielka i Jaś, mimo że większość z tych ludzi widzieli po raz pierwszy, wiedzieli jak się zachować. Bez żadnego słowa, zaczęli wszystkich częstować cukierkami, zapraszać do tańców, śpiewów. - wspomina Adam. - Jednak zawód przez nas wykonywany związany jest też z brakiem czasu, pewną niestabilnością życia. Dlatego na pytanie “kiedy kładziesz dzieci spać” odpowiadamy “kiedy padną”. Moje decyzje i Adasia nie zawsze są poprawne. Ważne, żebyśmy sami je akceptowali. - tłumaczy Marzena. - Tak jest właśnie m.in. przy wychowaniu dzieci. Z Marzeną nie jesteśmy do końca pewni czy postępujemy dobrze. Nasi rodzice często zwracają nam uwagę, że “tak nie należy postępować”, chcą uchronić swoich wnuków przed wariatami, którzy te wnuki urodzili...

Sędziejowice - nasze miejsce na ziemi

Ich małżeństwo przeplatało się z teatrem i ciągłą zmianą zamieszkania. Kiedy na świat przyszła Anielka czuli, że muszą znaleźć swoje miejsce na ziemi. - Zazwyczaj jest tak, że każde dziecko ma swoje zabawki, swój mały kącik w domu, swoje miejsce. Anielka przez pierwsze lata tego nie miała. Jej zabawki były stale spakowane, a my ciągle podróżowaliśmy z teatrem. To wywoływało ogromny dyskomfort, zarówno dla niej, jak i dla nas. Każdy człowiek ma prawo do szczęścia, ale trzeba o to szczęście zaważać. My tę walkę podjęliśmy. - wspomina Marzena. Trzy lata temu wypatrzyli

sobie mały, babciny domek 50km pod Łodzią. Mimo jego fatalnego stanu, zakochali się w nim. Ich marzeniem było stworzyć ciepłą, rodzinną utopię połączoną z teatrem. - Świat wartości trzeba umieć pogodzić z brakiem lęku - wyznaje Adam. Podjęli decyzję o kupnie. - Ludzie często pytali nas “jak was na to stać?”. Odpowiadałam bez zastanowienia “nas nie było na to stać”. Bywały naprawdę skrajne sytuacje. Jednak musieliśmy być silni i przetrwać ten ekstremalny dla nas okres. - Przez prawie rok Marzena z małą Anielką i Jasiem mieszkali w wynajmowanym pokoiku w tej samej wiosce. Życie z dwójką małych dzieci bez bieżącej wody i odrobiny prywatności nie było łatwe. Adam całymi dniami remontował wymarzony domek. - Gdybyśmy nie byli tak zdeterminowani, nie wytrwalibyśmy tamtego roku. - przyznaje Adam. Dla swojego własnego miejsca na ziemi, przetrwali wiele. Teraz z dumą zapraszają gości do swojego schronienia. Stworzyli dom otwarty dla wszystkich, każdego goszczą z uśmiechem na twarzy. - Zawsze chciałem stworzyć właśnie taki dom - pełen ludzi, teatralne epicentrum. Zapraszamy do nas znajomych z teatru, organizujemy warsztaty, przedstawienia. W sąsiednim budynku chcemy stworzyć sale teatralną z prawdziwego zdarzenia i pokoje gościnne - opowiada z zapałem Adam.

Nieszkodliwi wariaci

Ten optymizm i zaangażowanie nie wszystkim wydawało się być pozytywną, życiową energią. Sąsiedzi we wsi podejrzewali, że Łoniewscy należą do sekty. Co chwila nowi goście, ciągle odwiedziny, nieznajome twarze, dziwne zachowania, podejrzane śpiewy przy ognisku - sąsiedzi mieli wiele powodów do obaw. - Jakoś na początku, kiedy się tu sprowadziliśmy,

Gazeta Regionalnego Kongresu Kultury 2011 zaprosiliśmy na warsztaty teatralne znajomych z Częstochowy. Wszyscy wspólnie ćwiczyliśmy role, a w wolnych chwilach uczyliśmy się tekstu. Wielu aktorów w tym celu, udawało się na spacer po wsi, aby przyswoić tekst. Chodzili wzdłuż uliczek i klepali na głos wyuczone wersy. Sąsiedzi, kiedy to widzieli, byli pewni, że mają do czynienia z wariatami. - wspomina z uśmiechem Marzena. Minęło sporo czasu, zanim mieszkańcy Sędziejowic przekonali się do “niegroźnych wariatów”. - Teraz, kiedy wystawiamy u nas spektakle schodzi się cała wioska! Ludzie sami zaczepiają nas, dopytują się, kiedy będą kolejne. Po przedstawieniu starają się nam odwzajemnić - przynoszą ciasta, owoce z sadów, a nawet kury. - mówi Adam. Mieszkańcy Sędziejowic potrzebowali czasu, aby przekonać się do rodziny Łoniewskich i ich sposobu na życie. Przyzwyczaili się do ciągłych odwiedzin, organizowanych warsztatów, obozów teatralnych, czy też śpiewów Marzeny i jej zespołu.

- Ta konfrontacja z ludnością jest dla nas olbrzymim doświadczeniem. - przyznaje Adam. Przez całe życie stykają się (i z pewnością nadal będą) z niezrozumieniem ludzi. Również ich rodzice nie mogli się pogodzić, dlaczego ich dzieci wybrały taki sposób na życie. Mama Adama do tej pory wierzy, że zetnie on włosy i zostanie przedstawicielem handlowym. - Nam się wydaje, że naprawdę jesteśmy normalni. Ludzie mają nas za dziwaków, patrzą jak na szaleńców, którzy w to wszystko wplątują swoje dzieci. My nie mamy już siły tłumaczyć im “dlaczego tak”. Pod tym względem z pewnością świat artystyczny jest bardziej tolerancyjny. - A my po prostu jesteśmy buntownikami wobec konwencji. Szczęśliwymi buntownikami...

Magdalena Simson

Marzena Lamch-Łoniewska: wokalistka, aktorka, związana z Teatrem “A”, z którym w ciągu ostatnich lat zrealizowała 9 premier, m.in. Jonasz, Tobiasz, Pasja, Pastoralka, Apokalipsa, Pieśń nad Pieśniami, założycielka zespołu Kalokagathos
Adam Łoniewski: absolwent łódzkiej “Filmówki”, aktor Teatru Polskiego w Bydgoszczy, współpracujący z Teatrem “A”, założyciel Teatru “Trójkąt”, opiekun, reżyser młodzieżowej grupy teatralnej „Rebelia” działającej przy Centrum Kultury Młodych w Łodzi

